

Janusz Gajda

"Ucisk i strapienie", Adam
Kozłowiecki, Warszawa 2008 :
[recenzja]

Studia Theologica Varsaviensia 47/1, 162-167

2009

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

raz jest etapem przejściowym. Człowiek, który odkryje, że chrześcijaństwo nie jest tylko moralizatorstwem lecz naśladowaniem Chrystusa w jego ludzkim losie jest bardziej wolny i wtedy staje się także uzdolniony do prowadzenia innych (por. s. 173-237).

Znaleźć wzór mężczyzny będącego jednocześnie wystarczającym stopniu barankiem, ale też nie za mało lwem jest bardzo trudno, a jedynie taka wyważona postawa może być wyrazem prawidłowej duchowości.

Ksiądz Adam Rybicki dedykuję książkę mężczyznom, którzy poszukują własnej drogi duchowego rozwoju. Zadaje wiele pytań o kondycję współczesnego mężczyzny, w odrobinę kontrowersyjny sposób ukazuje pozytywne wzorce, nie boi się omawiać również masek jakie przywdziewają osoby skrzywdzone. Publikacja ma być początkiem trylogii, której pozostałe części autor przygotowuje i w tym kontekście zapewne przesłanie książki będzie pełniejsze i wyczerpujące.

Polecamy ją mężczyznom, którzy weszli już na drogę duchowego rozwoju, potrzebującym nowych bodźców do dalszego wzrastania. Dla kobiet może stać się ona ważna aby zrozumieć płęć przeciwną i jej problemy. Dla teologów będzie zapewne wzbogacającą lekturą na temat duchowości mężczyzny i impulsem dla kolejnych poszukiwań na ten temat, o którym mało jest publikacji polskich autorów.

Mateusz Kowalczyk

Kard. Adam Kozłowiecki SJ, *Ucisk i strapienie*, Wydawnictwo WAM, Warszawa 2008, Wyd. 3, ss. 601.

Pozycja ta, to trzecie wydanie uczestnika obozów koncentracyjnych, tych w Polsce jak i Niemczech, któremu mimo dramatu dane było przeżyć 97 lat. W recenzowanej pozycji ks. kard. Adam Kozłowiecki SJ opisał na sześciuset stronach (O zgrozo!) pierwszą część swego życia. Nie mówiąc w tym momencie o etapach jego życia, trzeba powiedzieć, że była to iście *persona dramatis*, czego jednak w swym życiu nie manifestował. Może tym bardziej warto spojrzeć na jego życie. Rodzi się pytanie: dlaczego tyle dramatu?

Pozycja ta, jawi się czytelnikowi, jako swoiste świadectwo życia ks. Kozłowieckiego i to w trzech wymiarach. Pierwszy wymiar, to jego relacja z *sacrum* i – nie tyle z *profanum*, jak często zestawiamy – ale ze swoistym *diabolicum*, gdy słyszymy w pierwszej Przedmowie, że mimo wszystko modlitwę „...o koniec tego piekła” (s. 9), a więc tego, co w teologii wiążemy z tym co diabelskie. Druga dymensja dotyczyć będzie wyraźnej topografii życia ks. Kozłowieckiego, która łączy Wschód z Zachodem i jakby tego było za mało, to sięga do Afry-

ki. Trzeci wymiar, to *furor biographicus* autora, który nie pozwala recenzentowi tej pracy, na oderwanie się od kontaktu z tym dziełem.

Te trzy dymensje może szczególnie jest łatwo dostrzec autorowi recenzji, gdyż dane mu było przez 9 lat pracować w Zambii, gdzie spotykał się z autorem dzieła „Ucisk i strapienie”, nie tylko jako pierwszym biskupem Lusaki, ale także jako kardynałem i, co wręcz zadziwiające, w końcu życia kard. Kozłowieckiego statystycznym misjonarzem. Bowiem ten ostatni etap życia spędził polski jezuita w pracy, jako jeden z kapłanów na afrykańskiej ziemi. Jak ta rzeczywistość trójwymiarowa przebija się w omawianej pozycji? Chciałoby się powtórzyć za Szekspirem: *that is the question*.

To „pamiętnik więźnia” (s. 12), jak pozycję tę nazywa ks. Stanisław Pyszka SJ w Przedmowie do II wydania (1995). Warto zauważyć, że już w pierwszym wydaniu (1967) posiada ona nader interesującą Przedmowę, której autorem jest współbrat, ks. Mieczysław Bednarz SJ. Trzeba powiedzieć, iż tak z punktu widzenia merytorycznego jak i literackiego, dostrzega ks. Bednarz wiele nader cennych opisów, refleksji i świadectw życia. Dość wspomnieć, że to pierwsze wydanie, to czasy PRL-u, gdy nad wieloma sprawami ludzi Kościoła miała miejsce permanentna kontrola. Dlatego w drugim wydaniu ks. Pyszczka powie, iż w 26 miejscach interweniowała rodzima cenzura (s. 12) i pozbawiła tego dzieła charakterystycznych wątków, które w realizowanym systemie politycznym nie były mile widziane, ba, wręcz niszczone i wyrzucane.

Wydanie to, ukazując zbrodnie hitlerowskie, przywoła skrybów polskich pierwszej połowy XX wieku, którzy te czasy starali się opisać i przybliżyć. Wspomina się tu: Zofię Kossak, Gustawa Morcinka, Michała Rusinka, Tadeusza Hołuję, Sewerynę Szmaglewską, czy bliższych czasowo nam autorów, jak Wojciecha Łajdusa, Zofię Posmysz, Wandę Póltawską, czy ks. bp Franciszka Korszyńskiego („Jasne promienie w Dachau”, wyd. w 1957). W Oświęcimiu przebywało wówczas 25 jezuitów, zaś „...w Dachau prawie trzy razy tyle – 70” (s. 6). Jak powiada pierwszy przedmówca w recenzowanej pracy, ks. Kozłowiecki dostrzega mimo wszystko „kropelki dobroci”, „krokusy na wiosnę”, wszak na „...cuchnącym bagnie zakwitły jasne kwiaty” (s. 7). Kto zaś był tym kwiatem w rzeczywistości obozu, kto tym krokusem? O tym dowiemy się z omawianej pracy.

Doświadczenie obozu miało bowiem wymiar nie tylko egzystencjalny ale także religijny, i co interesujące, również filozoficzny. Jak się dowiadujemy z recenzowanej pozycji, nad tym ostatnim doświadczeniem zastanawiał się głęboko nawet Bernard Russel, który już w czasie I wojny światowej był pacyfistą, a podczas kryzysu kubańskiego właśnie w sprawie pokoju rozmawiał z Chruszczowem, który przygotowywał zbrojny atak na USA. Więcej, ks. Kozłowiecki w czasie swego dramatu myślał o filozofie Jean-Paul Sartre, którego przywołuje

ks. Bednarz z jego odwiecznym pytaniem: „...co począć ze swoim życiem” (s. 7). Czy więc z punktu widzenia filozoficznego polski jezuita nie jest także bliski pytań Aleksandra Solżenicyna, zadawanych w jego wiekopomnym dziele „Archipelag Gułag”? Czy aby myśli o obozach nie były inspiracją dla Jana XXIII, papieża dobroci, jak o nim mawiano, który swą encyklikę *Pacem in terris* kieruje po raz pierwszy do „...wszystkich ludzi dobrej woli”? Stąd pozycja „Uscisk i strapienie”, jak pisze ks. Bednarz „...to wołanie o dobroć i protest przeciw złości” (s. 7). A nie był to łatwy krzyk, wszak w Auschwitz – jak się przyznaje autor omawianej książki – „...kopnął mnie jeden w brzuch, bo niby byłem zanadto wysunięty do przodu; a gdy cofnąłem się nieco do tyłu, dostałem kopniaka za to że się poruszyłem. [...] Stwierdziłem nieraz w obozie, że gdy mnie bito, to jakoś nie bardzo mnie bolało, jakoś to znosiłem i szybko o bólu zapominałem. Dwa razy dostałem tylko po twarzy tak, że mnie bardzo bolało, a przecież były okresy, że byłem bity po kilkanaście razy dziennie” (s. 141).

Jak się dowiadujemy z recenzowanej pozycji, zawiera ona obok dwóch przedmów, także krótką Przedmowę Autora (s. 13 – 14), gdzie on się usprawiedliwia, że „Przeżyć było tyle, że ze wspomnień o nich powstał w głowie chaos. Dlaczego? Zapyta każdy czytelnik. Otóż ks. Kozłowiecki pisze „... wszystko z pamięci; w obozie bowiem najsurowiej było zakazane robienie jakichkolwiek notatek. I dodał (= JG)... psychiki tej nie może zrozumieć ten, kto nie przeszedł przez obóz” (s. 13). W swej Przedmowie oświadczy, że „...od początku do końca patrzyłem na wszystkie wypadki oczami szarego, przeciętnego więźnia, i jako taki je przeżywałem” (s. 14). Stąd po tym oświadczeniu autorskim przechodzi do ukazania Organizacji obozu koncentracyjnego (s. 15 – 29). Jak więc przedstawia tę strukturę swego miejsca pobytu?

Na czele obozu stał komendant, zaś zarząd obozu tworzył hierarchię stanowisk pośród samych więźniów. Tutaj autor zarysowuje z detalami wybór i sposób sprawowania powierzonych funkcji. Bowiem życie w obozie miało bardzo ściśle przestrzegany porządek dnia, od wstania (4.30 w lecie, 5.30 w zimie) a po godzinie 21.00 obowiązywał już sen. Po wstaniu należało nie tylko dokonać porannej toalet, ale także spożyć śniadanie: „herbata z ziółek, niekiedy czarna „kawa” (s. 17). Od godziny 6.00 rano trwała praca do godziny 11.30, by następnie spożyć obiad, którego menu w tygodniu się powtarza, choć niby zdarza się nowe, co jest prawdą, że czytelnika przeraża (vid. s. 17). Stąd dowiadujemy się, iż w obozie panował głód, zwłaszcza im dłużej się było, tym organizm bardziej dawał znak potrzeby posiłku. Nie dziwi więc fakt, iż tu królowała kradzież. Jedni kradli z nędzy, inni z głodu, ale byli i tacy że czynili to z podłości – opisywał w tej książce ks. Kozłowiecki.

Jak on postrzegał początki powstawania obozu? Budowali go sami więźniowie. Po zajęciu Polski przez ludzi Hitlera, starano się znaleźć najlepszy teren

pod obóz koncentracyjny. Tym razem wybór padł na Oświęcim. Na początku sprowadzono więc z Sachsenhausen około 30 więźniów kryminalistów, którzy stali się grupą przygotowującą Polaków do należytego respektowania obozowego regulaminu i poleceń przełożonych. Do prowizorycznego obozu dnia 14 lutego 1940 r. przybył pierwszy transport ponad 700 więźniów z Tarnowa, zaś 20 czerwca tegoż roku podobny transport z więzień krakowskich (400 ludzi) i 300 osób z Wiśnicza, wśród których był ks. Kozłowiecki. W miarę rozbudowy dało się zauważyć 21 bloków i kuchnię dla 10.000 więźniów. To wszystko było ogrodzone kolczastym drutem, wszak wewnątrz były różne zakłady pracy oraz krematorium. Pod koniec tego roku było już tu ponad 7.000 więźniów. Nic więc dziwnego, iż obóz był otoczony płotem o wysokim napięciu elektrycznym, razem z filią tego obozu w Rajsku, gdzie była komora gazowa i 7 krematoriów, wszak liczba więźniów wzrosła do 20.000.

Życie w takim obozie charakteryzowało się swoistą logiką, którą wyznawał i przestrzegał ich przywódca Trzeciej Rzeszy. „Wykańczanie” człowieka było podstawowym celem obozów koncentracyjnych. Tu byli już nie ludzie, ale więźniowie. *Hier gibt's keine Männer, hier sind nur Häftlinge* (s. 21), to zdanie powtarzano w obozie. Więzień więc miał swój numer porządkowy, którym też oznaczono ks. Kozłowieckiego, a była to liczba 1006 (s. 125). Każdy więzień był zobowiązany do przestrzegania dyscypliny o której przedstawiciele władz obozu mówili, że jest ona surowa ale sprawiedliwa, stąd jej przekroczenie było surowo karane. Były trzy kategorie kar: „... wiszenie na słupku, chłosta do 75 uderzeń, kara śmierci” (s. 128). Kto nie poddawał się tej dyscyplinie, za ten bunt był rozstrzeliwany, zaś za rzucenie się na któregoś z przełożonych, była kara śmierci przez powieszenie, wreszcie za próbę ucieczki z obozu, był człowiek również rozstrzeliwany. Towarzyszyły temu obozowemu życiu różne ćwiczenia karne, jak tzw. *Hüpfen* (żabki), tj. podskoki w przysiadzie. Czytamy: „Po kilku takich podskokach cały człowiek jest zalany potem, serce wali, jak opętane, mięśnie nóg odmawiają posłuszeństwa. Oczywiście podskoki idą nam coraz gorzej, wtedy Palitsch z zielonymi wałami nas drogami gdzie popadnie” (s. 130).

Dyscyplinowanie pracy więźnia, przybierało nader różne formy. Każdemu bowiem można było postawić zarzut, iż jest zbyt leniwy przy pracy, dlatego była kara cielesna 10 ciosów, które oskarżony sam głośno liczył, a gdy się pomylił, rozpoczynano od nowa. By było pikantniej, młodemu chłopcu, który podbiegł do kozła i przeżegnał się, ów Luluś Meyer dodał jeszcze jedno uderzenie i powiedział do chłopca: *A to od Pana Boga...* (s. 148).

To w tym czasie, bo w lipcu 1940 r., nad bramą obozową był już napis: AR-BEIT MACHT FREI. Praca w obozie nie czyniła człowieka wolnym, jak i ta wyjątkowa, na zewnątrz przy noszeniu snopów, tym bardziej gdy się jest Pfaffen (klechą), których tu było wielu. Napisze ks. Kozłowiecki: „Nasze tempo

pracy jest dwa razy szybsze niż tamtych. Ale tamci okazują nam współczucie. Widzą, że dzieje się nam krzywda.[...] Ludność cywilna spogląda na nas z daleka. Kobiety i dzieci podrzucają nam chleb. Ale kapo zbiera wszystek, a potem rozdaje innym, nam, Pfaffen, nic się nie dostaje. Skorzystałem z okazji i wyrwałem z pola brukiew. Zjadłem ją potem do spółki ze Stasiem Sewiło” (s. 175) – opisuje autor.

Pobyty w Oświęcimiu, aczkolwiek nader szokujący i wymagający, nie trwał z punktu widzenia czasowego nader długo. Bowiem już w końcu pierwszej dekady grudnia 1940 r. przygotowywali się więźniowie do wyjazdu do Dachau. 11 grudnia tegoż roku nad ranem byli już w Wiedniu i stąd transport prowadził do obozu koncentracyjnego w Dachau. Tego samego dnia bezpośrednio po północy (0.05), przekraczali bramę z napisem: Arbeit macht frei. „Jesteśmy w obozie koncentracyjnym, którego oficjalna nazwa brzmi: KONZENTRATIONSLAGER DACHAU 3 K (s. 220). Także tu otrzymał ks. Kozłowiecki numer: 22.187, który będzie go identyfikował na terenie Niemiec. Było tu ponad 2.000 duchownych i sposób ich traktowania, nie wiele się różnił od tego w Polsce. „Bito tu i tam, ale w Oświęcimiu bito więcej. [...] Ale tu na odmianę zabijała nas wyrafinowana „higiena”. Np. zmuszanie do siedzenia w skarpetkach na zimnych blokach” (s. 226). Tym co uderza ta część omawianej pozycji, to koncentrowanie się autora książki na kapłanach, braciach zakonnych i biskupach, którzy także tu się znaleźli.

Uderza nieprawdopodobnie czytelnika swoisty „marsz żałobny” duchownych, których ks. Kozłowiecki przywołuje. A co dzień wspomina niczym w refrenie o kolejnym zmarłym i oznajmia śmierć tych, którzy od młodości swe życie Bogu poświęcili. Pewne objawy niby kultury, troski, czy opieki o więźniów, ks. Kozłowieckiego i jego współtowarzyszy nie uspokajały. *Timeo Danaom et dona ferentes*, powtarzali za Wergiliuszem. Generalnie nie wierzyli w struktury obozu, nie wierzyli w nich tym, którzy nawet proponowali dewiacje seksualne. Słabnące organizmy kapłanów ukrywano, dopiero z czasem dowiedziano się, iż „... wszyscy wywożeni tzw. transportami inwalidów wyjeżdżali na śmierć przeważnie w komorze gazowej w Dachau!” (s. 307). I tak dzień po dniu jak opisuje autor, ubywało kapłanów, których przywołuje, opisuje z punktu widzenia diecezji, czy zakonu oraz wieku. Oni byli dla Niemców jak „Zafajdane klechy! Świńskie łajno! Zafajdane barany! Lenie, świńskie psy!” (s. 315) jak tłumaczy sam Kozłowiecki niemieckie wyrażenia. Kolejne dni, to kolejne nazwiska, diecezje, zakony i lata odejścia sług Bożych do Pana. „Ogarnia mnie żal i bezsilna wściekłość! W dwudziestym wieku, w centrum Europy popełnia się tak straszne zbrodnie” (s. 392) – wyzna nasz autor.

Nie dziwi więc fakt końca wojny, iż 29 kwietnia 1945 r. jak opisał ks. Kozłowiecki, że pierwszy amerykański żołnierz wpadł do obozu a „Więźniowie zbie-

gają się, chwytają żołnierza na ramiona i podrzucają w górę. JESTEŚMY WOLNI. *Redemisti nos, Domine, Deus veritatis*” (s. 558) wyzna, niczym biblijny skryba, obecny tam jezuita Kozłowiecki.

Pozycja ta ma też swe Zakończenie, które w sposób śladowy finalizuje wielkie dzieło życia autora. Ponad 5 lat życia w obozie niełatwo pozwalało na powrót do normalnego życia. Jednak dla ks. Kozłowieckiego dopiero się zaczyna Boża przygoda, którą nader interesująco przeżywa. Oto 14 kwietnia 1946 r. zegnana Europę i udał się do Północnej Rodezji (dzisiejsza Zambia). W 1955 r. Jan XXIII ustanowił go w Republice Zambii w Lusace pierwszym arcybiskupem. Urząd ten pełnił przez 10 lat, czego się zrzekł na rzecz czarnoskórego następcy. Jan Paweł II mianował go kardynałem, co stanowi swoistą kropkę nad „i” jego życia. Tom dzieło „Ucisk i strapienie”, nie doprowadziło do utraty wielkich wartości ludzkich i chrześcijańskich, zauważa recenzent. Aczkolwiek działo się to wszystko w Europie, gdzie tego doświadczał ks. Kozłowiecki, to dziś spoczywa na afrykańskiej ziemi, gdzie dokończył 97 lat swego życia. RIP.

Ks. Janusz Gajda

Clive Dillon-Malone SJ, *With Christ in Scripture*, Ndola-Zambia 2008, ss. IV + 215.

Gdy bierze się do lektury pozycję Clive Dillon-Malone pt. *With Christ in Scripture*, doktora filozofii z Nowego Jorku, który już w 1975 r. pracował na Uniwersytecie Zambijskim w Lusace, więcej, od 1985 r. zajmował się tam socjologią, filozofią i formalnie etyką, zastanawia i zadziwia ta nader teologiczna pozycja. Tym bardziej, że miał za sobą takie dzieła, jak: *The Korsten Basketmakers: A Study of the Masowe Apostles, an indigenous African religious movement and Zambian Humanism*, czy *Religion and Social Morality*. Te bowiem prace odsyłają czytelnika do jego socjologii religii, myśli filozoficznej na tym terenie, czy etyki w relacji do praktyki chrześcijan, powiedzmy już w dużej mierze katolickiej Zambii. Bowiem w końcu XX wieku około 75% mieszkańców Zambii to chrześcijanie związani z różnymi kościołami, ale w dużej liczbie także z Kościołem katolickim. Jednak Clive Dillon-Malone postrzega ten kraj, nie z punktu widzenia socjologicznego ale teologicznego, czemu poświęca tę pracę.

Praca zbudowana jest nader dychotomicznie. Obok bowiem Wstępu i Zakończenia dominują dwie jej części. Pierwsza zatytułowana: *God with us in Christ* i druga: *We with God in Christ*. Owym pierwszymi członem jest sprawa Boga z nami w Chrystusie, podczas gdy w drugiej części traktuje autor już człowie-